

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

BRÜHL, TOM DRUGI

Józef Kraszewski
Brühl, tom drugi

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=55843022

Brühl, tom drugi:

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

Tom II	4
I	4
II	27
III	47
Конец ознакомительного фрагмента.	58

Józef Ignacy Kraszewski

Brühl, tom drugi

Tom II

I

W mieszkaniu Sułkowskiego, pod wieczór wiosennego dnia siedzieli naprzeciw siebie dwaj wszechwładni ministrowie w długim milczeniu, jak gdyby obadwa zbadać się pragnęli a nie mogli. Od kwadransa już prawie Sułkowski ze swą pańską dumą, przechadzał się po salonie, stając niekiedy w oknach i patrząc w ogród. Przez otwarte jedno z nich, słychać było śpiew wesoły kosów i szczygłów. Zdaleka dolatywał odgłos wozów i karet, toczących się po bruku.

Twarze dwóch współzawodników napozór nie wiele się różniące charakterem, przedstawiały nadzwyczaj wybitną sprzeczność dla bacznego spostrzegacza. Ktoby był się przypatrzył Brühlowi, gdy ten sądził, iż go nikt nie widzi, dostrzegłby pod jego uśmiechem, prawie dobrodusznym i pełnym uprzejmości, chłodną przewrotność, której głębiny przerazić mogły. W oczach jego błyszczała żywa pojętność, spryt ten światowego człowieka, który nie potrzebuje nic się uczyć,

a zgaduje wszystko i rozumie; który jasnowidzeniem sprężyny ruchów społecznych przenika i nie zawaha się nigdy żadnej z nich pochwycić, gdy bezpiecznie może, a dla własnej tego potrzebuje korzyści.

Sułkowski był w dumę wbitym podpankiem, który urosłszy na pana, sądził się tak bezpiecznym na wysokim swym stanowisku, iż mniemał, jakoby mu wszystko już było wolno. Z pewnym lekceważeniem, za rodzaj *malum necessarium*¹, uważał Brühla i z góry nań spoglądał z tą wyższością pewną siebie, która najbliższego nawet nie dostrzega niebezpieczeństwa. Nie zbywało mu na myślach, lecz leniwo one krążyły w głowie, która bardzo się silić nie widziała potrzeby.

Patrząc na nich, można było i odgadnąć walkę nierówną i lękać się o jej wypadek łatwo przewidziany. Nigdy piękniejsza i miłsza twarz, więcej chytrości i fałszu nie kryła pod swą maską. Brühl wszakże, gdy wiedział że nań patrzano, przybierał tak niemal łatwowierną, naiwną, dziecinną fizyognomią, że się zdawał zupełnie niewinnym stworzeniem.

Dwaj tacy ludzie, postawieni przy sobie i zmuszeni do współzawodnictwa, nie mogli długo wytrwać bez walki. Tu jej wcale jeszcze nie było, owszem najczulsza zawsze panowała przyjaźń. Instykt czasem jakiś sprawiał, że Sułkowski czuł, domyślał się w Brühlu antagonisty, ale się sam śmiał z tego. Brühl doskonale wiedział, że do panowania absolutnego nad królem nie dojdzie, nie obalwszy Sułkowskiego. Sam on poniekąd dawał

¹ *malum necessarium* (łac.) – zło konieczne. [przypis edytorski]

oręż przeciwko sobie. Jakkolwiek umiejący dyssymulować i czekać, Sułkowski się czasem z tém wydawał, że mu panowanie duchownych i jezuitów na dworze ciążyło, że przewaga królowej mu zawadzała.

Nie zwierzał się z tego Brühlowi, ale nie ukrywał przed nim tak dalece, aby się nie dał odgadnąć. Gdy Brühl z O. Guarinim był w najściślejszych stosunkach, Sułkowski nigdy go z sobą do poufałości nie dopuścił. Dla królowej był z najgłębszym szacunkiem, nie uchybił jój pewnie, ale ani się bardzo nabijał do łask, ani nadskakiwał jój otoczeniu, ani dosyć służył. Czasami wrywało mu się jakie słówko o tém, że za Augusta II dogodniej było z faworytami, niż teraz z jedną i to tak surową królewiczową.

O. Guarini, wiedząc jak był w łaskach u króla, kłaniał mu się, lecz zdaleka.

Sam na sam z Brühlem tak swobodnie, jak dziś, spotykali się rzadko; jeden z nich prawie zawsze przy panu być musiał na służbie, aby mu się nie dać nudzić samemu.

Znać wszystko, o czém mówić mieli wyczerpali, gdyż Sułkowski milczał, a Brühl mu nie przerywał, nie odchodził jednak, jakby coś jeszcze na koniec zostawił.

Po długiej dosyć przechadzce, hrabia się zwrócił do siedzącego i rzekł cicho:

– Wszystko to niech pozostanie między nami. Dom habsburski się kończy, saskiego wielkość rozpocząć powinna. Wiem to doskonale, żeśmy się zrzekli wszelkich praw do

spadku, że sankcją pragmatyczną przyjmujemy, ale ze śmiercią cesarza, rzeczy dla nas obrót nowy przybrać muszą. Co najmniej powinniśmy wziąć Czechy, a nawet Szlązk, gdzieindziej wynagradzając Prusy. Mówiłem wam, że skreśliłem w cichości plan cały. Kazałem go napisać Ludovicemu.

– Radbym mieć go i rozważyć – odezwał się Brühl – plan jest genialny i godny was, a dla przyszłości Saxonii najwyższej wagi. Nie potrzebuję mówić nawet, że do spełnienia jego, najszcześniejszym będę, jeśli się zdołam przyczynić. Masz hrabia we mnie gorącego współzawodnika i służę.

Ale kaźcie też Ludovicemu ten plan przepisać dla mnie.

– Plan ten podziału Austrii – odparł Sułkowski, któremu pochlebiało uznanie – nie chcę, aby dwa razy przesuwano się przed oczyma Ludovicego, ale ja go dla was w wolnej chwili, sam własną ręką przepiszę.

Brühl z najmiłszym uśmiechem podziękował.

– Uczynisz mi hrabio największą łaskę – rzekł – tak olbrzymi pomysł, zawczasu już powinien być opracowany i środki wykonania przedsięwzięte. Moźnaby zdaleka i ostrożnie wymacać w Berlinie...

– A! – zawołał Sułkowski z uśmiechem – tam, nie ma najmniejszej wątpliwości, z otwartymi przyjmą go rękami: o to ja jestem spokojny, znajdziemy łatwego i chętnego sprzymierzeńca.

– I ja się tego spodziewam – dodał minister – idzie tylko o to, aby sobie zbyt drogo płacić nie kazał.

– Ale też nie czas jeszcze przystąpić do układów.

– Ale pora się przygotować do nich i strategią całą rozważyć, jakiej nam użyć wypadnie.

To mówiąc Brühl powstał i wyciągając się od niechcienia, odezwał:

– Mam prawie pewność, że ten niepocziwy medal, to jest pomysł doń, wyszedł z Drezna, a nawet silne nader podejrzenie mam o twórcy.

Szybko odwrócił się ku niemu Sułkowski.

– Któżby był tym śmiałkiem?

– Któż, jeśli nie dworak, ufający w swe położenie – mówił Brühl – maleńki człowieczek na tak niebezpieczną rzecz nie ważyłby się: pachnęłaby dlań katem i pręgierzem.

– Tak, a dla dostojniejszego pana, może czémś gorszém grozić, bo bezkarnie tego puścić niepodobna.

– A! spodziewam się! – rzekł Brühl – po głowachby nam jeździli. Zuchwalstwo już i tak dochodzi do najwyższego stopnia, a dobroć pana i wspaniałomyślność wasza ośmiela do wybryków najswawolniejszych. Czy też hrabia uważałeś, ile sobie Watzdorf młodszy pozwala?

Sułkowski, który był ku oknu zwrócony, postyszawszy te wyrazy, popatrzał na Brühla, jak gdyby z pewném politowaniem.

– Wy, bo nie lubicie Watzdorfa – rzekł. Jak ojciec tak i on bufonuje, ale to tam nie jest niebezpieczne.

– Przepraszam – podchwycił Brühl żywo – bardzo przepraszam. Kto sobie zwykł ze wszystkiego żartować, nie poszanuje nic. Dostanie się mnie, wam, panie hrabio, a wkońcu

i panu naszemu.

– Na to się nie odważy.

Zaczawszy mówić hrabia przerwał, zwrócił się do Brühla i biorąc go za guzik od fraka, rzekł poufale:

– Wy bo do niego coś macie? przyznajcie się: zawadza wam?

– Nudzi mnie – zawołał Brühl – przyznaję, czepia się mnie, żarcikami swojemi dojada...

– Wy sobie pono wyobrażacie, jeśli się nie mylę – pocichutku odezwał się, śmiejąc Sułkowski, – że on się kochał w Frani Kolowrathównie.

– Toby był tylko dowód dobrego gustu i tegobym mu za złe mieć nie mógł – rzekł Brühl, pokrywając rozdrażnienie pozorem obojętności – ale dokuczają hrabinie Moszyńskiej, dla której mam najwyższy szacunek.

– A! a! – rozśmiał się hrabia.

– Hrabinaby się obroniła sama, szepnąwszy słowo królewiczowi – mówił dalej Brühl – ja jój nie potrzebuję w pomoc przychodzić; daleko gorzej jest, że drwi z nas wszystkich, nie wyjmując nikogo.

– Jakto? i ze mnie? – spytał Sułkowski.

– Zdaje mi się, że i tobym mu dowiódł.

– O! toby było nadto śmiało! – rzekł Sułkowski sucho.

– Wierzcie lub nie, powiem otwarcie: ja go mam za twórcę medalu... – zawołał Brühl i rękę położył na piersiach.

Rzuciwszy to słowo parę razy, przeszedł się po salonie.

– To prosty domysł, mój Brühl, to prosty domysł.

– A może i coś więcej, niż domysł – począł minister – wiem już na pewno, że trzy, czy cztery medale rozdał.

– Komu?

– Dworskim osobom. Zkądże ich ma tyle, i co za osobliwsza ochota do rozpowszechniania rzeczy, którą ja wykupuję i niszczę?

– Lecz czyż pewno?

– Henniecke da wam spis osób.

– To już wcale co innego – przerwał Sułkowski – to fakt, i chociaż ja go sobie tłumaczę więcej jego niechęcią dla was, niż dla mnie, zawsze i mnie to dotyka.

– Tak jest – potwierdził Brühl. Powiem wam szczerze, kazałem w jego mieszkaniu potajemną zrobić rewizję. Jeśli się tam znajdzie zapas medalów, mam go za ich autora i proszę was, aby mu to bezkarnie nie uszło.

Wam – dodał, rozgorączkowany się niby Brühl – obojętną to być może rzeczą, ale dla maleńkiego jak ja człowieczka...

Sułkowski się zmarszczył.

– Watzdorfa nigdybym nie sądził zdolnym do takiej nikczemności.

– Przekonacie się – kończył minister. Jeśli dowody będę miał w rękę, w takim razie nie chcę nic u królewicza wyjednywać bez was, nic sam przez się czynić, o nic bez waszjej wiedzy prosić; ale z góry was błagam: tego płazem nie puścimy. Na Koenigstein...

Zamyślił się Sułkowski.

– Szkodaby mi go było – rzekł – lecz jeśli się okaże jawnie

winnym...

– Ja królewicza o to prosić i mówić mu o tém nie będę – powtarzam – was proszę, wy czyńcie: jam wasz sługa i pomocnik, ja sam przez się niczém nie jestem i być nie chcę, tylko pomocą Sułkowskiego, jego podręcznym...

Skłonił się, Sułkowski wziął go za rękę i rzekł z dumą sobie właściwą:

– Przyjaciela chcę mieć w was, tylko przyjaciela, mój Brühl, a z méj strony służyć wam będę po przyjacielsku. Wy mi jesteście potrzebni, ja wam się téż przydam.

Ścisnęli się serdecznie; Brühl z wielkiego wzruszenia, które było znakomicie odegrane, pocałował go w ramię.

– Słuchajże Brühl, jak przyjaciel ci to mówię: wiele osób wie, że Watzdorf się kochał w Frani; jeśli go dlatego chcesz oddalić, nie na mnie, ale na was krzyczyć będą.

Brühl odskoczył aż z podziwu udanego.

– Ale mój hrabio – krzyknął uderzając się w piersi – ja nie jestem nic a nic, a nic zazdrosny, alem o honor pana, o wasz i o mój, troskliwy...

Dziś – dodał – zaczepiają nas i otarli się o tron, jutro ośmieleni na sam tron się rzucą i na najdroższego nam pana. Trzeba swawoli zapobiedz, bo nic świętego nie będzie.

– Masz słuszość – zimno odparł Sułkowski – ale winy trzeba dowieść.

– Oczywiście – dorzucił Brühl, chwytając za kapelusz, i począł się żegnać.

– Ale spotkamy się przecie...

– Tak, na strzelaniu – rzekł Brühl – królewicz potrzebuje rozrywki. Bądź co bądź, należy mu ich dostarczyć... namiętnie strzelać lubi. Przecież to tak niewinna zabawa...

Brühl pośpiesznie zabierał się do wyjścia, jakoż nadchodziła godzina, w której dwór miał się udać do bażantarni, gdzie tarcze przygotowano. Nie chciano urządzać tego rodzaju zabawy w zamku, aby zachować jeszcze resztkę pozorów żałoby.

W bażantarni, lasku pobliskim Drezna, w którym już stało kilka domków i pałacyk za Augusta II zbudowany, dwór się bardzo często zabawiał. Przepyszne aleje z lip, ogromne buki i dęby, całe posągów szeregi, stawek wykopany świeżo, czyniły to miejsce jedném z najwdzięczniejszych w okolicach Drezna. Niespełna pół godziny drogi dzieliło je od stolicy. Ogród dziki w pośrodku, w którym i amfiteatr był urządzony, opasywał zewsząd gęsty las odwieczny. Wśród niego gdzieniegdzie stojące posągi i ogromne wazy marmurowe wytwornie rzeźbione, cudnie wyglądały na ciemnej drzew zieleni. Woń świeżo rozwitych drzew, cisza dokoła, klomby kwiatów, łąki szmaragdowe ubierały to zacisze.

W amfiteatrze urządono do strzelania tarcze. O. Guarini nie contentując się tém, co tam przygotowują łowczy i myśliwski dwór króla, znając charakter Fryderyka, chciał mu tu uczynić niespodziankę i od rana się nad nią krzątał. Trzymano ją w jak najgłębszej tajemnicy. Nieopodal od amfiteatru z tarcic wystawiono szałas, przy którym stała straż, nie dopuszczająca

doń nikogo; zawierał w sobie tę tajemnicę Ojca Guariniego. Trzy razy tego dnia z rozmaitemi pudłami przyjeżdżał jezuita i za każdym razem on, i kilku pomocników siedzieli tam dosyć długo. Twarz Ojca nabrała po południu, gdy raz ostatni tu przybył, wyrazu zadowolenia i źle tłumionej uciechy. Próżno okrywał się powagą swojego stanu, oczy mu się śmiały mimowoli. Znać już wszystko gotowém być musiało, bo Pater założywszy ręce w tył, przechadzał się spokojnie, po wiodącej do amfiteatru uliczce, gdy na placyku około pałacu turkot się dał słyszeć. Ekwipaże dworskie jeden za drugim, poprzedzane lauframi, z hajdukami i lokajami na stopniach z boku i z tyłu, konni kawalerowie, kobiety strojne, wszystko to jedno za drugim przybywać zaczęło. Królewicz wiódł pod rękę żonę, która go zwłaszcza przy zabawach i gdziekolwiek kobiety znajdować się miały, nigdy nie odstępowała. Kolowrathowa z córką, frejliny, szambelanowie, pазie, dwór cisnął się za królewiczem na wyznaczone sobie miejsca. Sułkowski i Brühl w wykwintnych myśliwskich strojach, szli tuż przy Fryderyku.

Zawczasu przygotowano sztucce, paziowie, myśliwcy do nabijania i podawania ich stali w amfiteatrze. Właśnie gdy Fryderyk zajmował z widoczną niecierpliwością miejsce swe i strzelanie już się miało rozpocząć, na zielonych wschodkach wiodących z bocznej uliczki do amfiteatru, ukazał się O. Guarini po cywilnemu (bo często bardzo chodził w tym stroju) z laską w ręku.

Udawał niezmierne zdziwienie na widok dworu i zbliżył się

pokornie do królewicza, choć wesoły zarcik zdawał się ulatywać na jego ustach.

– A! Najjaśniejszy Panie – zawołał – co ja widzę, strzelanie do tarczy: co za wyśmienita zabawa.

– Hm? prawda? – śmiejąc się rzekł Fryderyk – ale wy strzelacie do dusz tylko...

– Zawsze jednak do celu, i to dosyć nieszczęśliwie... rzadko trafiam – westchnął jezuita. – Postarzałem. Tu zaś świetne pewnie będą wyścigi... ale gdzież nagrody?

– Jakie nagrody? – spytał zdziwiony nieco królewicz.

– Niech mi Najjaśniejszy Pan daruje – odparł Guarini – po ludzku rzeczy biorąc, tym co najtrafniej strzelać będą, należy coś w nagrodę i na pamiątkę.

– O tém nie pomyślałem – zawołał królewicz, obracając się wkoło i szukając kogoś oczyma.

– Jeżeli mi wolno będzie – przerwał kłaniając się Guarini – to ja zaofiaruję nagród pięć. Wiele nie mogę, ubogi jestem, ale na uciechę mojego najdroższego pana, składam mój maluczki dar u stóp jego.

Królewiczowi oczy się rozśmiały.

– No co? co? – zapytał.

– A! to moja tajemnica! – zawołał Padre – tego wydać nie mogę przed czasem.

Wskazał ręką na budkę.

– Nagrody moje tam się mieszczą. Pięć najlepszych strzałów je otrzyma.

Zakrawało to na jakąś farsę zabawną, bo O. Guarini liczył się do najgorliwszych króla zabawiaczy; silił się często na koncepta niekoniecznie świeże i wymuskane, byle dobroduszny uśmiech wyprowadzić na twarz spokojną milczącego pana.

– Tom ciekawy – rzekł Fryderyk.

– Wymawiam sobie tylko – dorzucił O. Guarini – abyś N. P. nie należał do współubiegających się o te nagrody. Nie ma wątpliwości, że tu nikt lepiej nie strzela, ale ja dla mojego pana nagrody godnej jego rąk, nie mam. Więc...

Mrugnięcie jego oczów, dopowiedziało resztę.

Niecierpliwie sam Fryderyk wziął się do strzelania pierwszy. W istocie od dzieciństwa uprawiając się w użycie broni, strzelał tak, iż mało mu kto mógł zrównać, a gdy w rękę wziął sztuciec, tak już był zajęty i zapalony, że nic w świecie nie widział, nie słyszał, o niczym nie pamiętał, oprócz o strzelbie i kuli. Tarcza była tak urządzona, iż kula, trafiająca w sam cel jój, podnosiła do góry chorągiewkę zielono-białą, z barwami saskimi. Kule uderzające w tarczę poza kołem pierwszym, oznaczała chorągiew żółto-czarna, barwy miasta; naostatek najdalej padające, czarną się oznajmywały.

Gdy Fryderyk zaczął strzelać i raz po raz sadzić kule do celu, oklaski i okrzyki mu towarzyszyły. Strzelił tak razy kilkadziesiąt, nim drudzy z kolei poczęli: Sułkowski, Brühl, posłowie obcych dworów, stary generał Baudissin, hrabia Wackerbarth-Salmour, hrabia Loss, baron Schönberg, hrabiowie Gersdorf i inni. Liczono strzały chybione i celne każdego ze współubiegających

się. Królewicz zdawał się z niecierpliwością wielką wyglądać rozdania nagród O. Guariniego, który stał na boku skromnie, z rękami w tył założonemi.

Trafiło się przy obliczaniu strzałów, iż stary Baudissin, ocieężała dobra figura, posłuszna i skromna, wygrał los pierwszy. Królewicz aż wstał z krzesła, szukając oczyma O. Guariniego, który z powagą wielką zawołał dając znak do budki, po włosku, aby wyniesiono pierwszą nagrodę.

Ciekawość obudzona była do najwyższego stopnia. Drzwi się otworzyły, dwóch w liberyi pańskiej pachotków w kanarkowych frakach z granatowemi wyłogami, wyniosło wielki kosz okryty oponą białą, w którym się coś trzepotało.

– Panie generale – odezwał się Guarini z powagą – nie moja wina, że wy na wasz wiek niestosowną otrzymujecie nagrodę; los tak zrządził: nikt się swojemu przeznaczeniu obronić nie może.

Na dany znak otworzono kosz, podniesiono oponę i na trawniku ukazała się... ogromna gęś, ale nie w tym stroju naturalnym, w jakim przyszła na świat. W rękach znakomitego artysty, stała się ona najpocieszniejsem w świecie stworzeniem. Na skrzydłach miała rozpiętą z wytworniej materyi suknię, jaką naówczas modne damy nosiły; na nogach trzewiczki, na głowie fryzurę i pióra.

Przestraszone stworzenie, którego ukazanie się ogromny śmiech powitał, poczęło się kręcić chcąc uciec; ale skrzydła pętała suknia, nogi trzewiki, do których gęsi nienawykłe; otwarła więc dziób, jakby wołając o ratunek i potoczyła się między

widzów.

Królewicz wzięwszy się za boki, śmiał się do łez, śmieli się więc wszyscy, nawet surowa królewiczówna.

– Drugi, drugi numer! – wołał Fryderyk.

– N. Panie – rzekł O. Guarini – ta pierwsza nagroda zowie się *Angela o l'amorosa*²!

– Któż bierze drugą nagrodę?

Druga należała Sułkowskiemu, który jakoś kwaśno ten żarcik Guariniego przyjmował.

Wyniesiono kosz drugi i – w stroju arlekina włoskiego teatru, wyskoczyła z niego małpa, nie mniej od gęsi przestraszona; ale ta, mimo stroju, jak tylko się uczuła wolną, poczęła zmykać i dopadłszy najbliższego drzewa, dosyć zręcznie wdrapała się na nie.

Królewicz nie namyślając się, pochwycił coprędzej sztuciec i strzelił: małpa krzycząc, po gałęziach się czepiając, krwawiąc, upadła na ziemię.

Nagrodą trzecią dla Brühla, który jój wcale nie pożądał, był przyniesiony w koszyku ogromny zając, przebrany także za **Crispino**. Królewicz i tę nagrodę ubił kulą. Niezmiernie zdawał się ożywiony i szczęśliwy, ręce mu drgały, oczy połyskiwały, śmiał się... i zaledwie przysiadłszy, zrywał się, gdy przyniesiono nagrodę.

Czwartą był szary królik ustrojony za **Scaramuzzia**, który

² *Angela o l'amorosa* – wszystkie te nagrody są historyczne. P. Vehse. [przypis autorski]

téż chciał zmykać przerażony i padł ofiarą myśliwskiej gorączki Fryderyka.

Ostatnia była jedną z najpocieszniejszych, i ta, równie jak gęś, ocalała: z kosza wydobył się ogromny indyk ubrany za **Dottore** we fraku, peruce, kamizelce i wszystkiém, co do jego urzędowego stroju należało. Tego komiczna powaga ocalała.

Śmieli się wszyscy.

Królewicz podziękował Guariniemu i zdobył się na przydłużony frazes, w którym go zapewnił, że nie tylko póki życia téj doskonałej farsy nie zapomni, ale ją każe naśladować.

Strzelano potém jeszcze dla zabawy, dopóki mrok dozwolił; wieczór był spokojny, piękny i miły, powietrze wonne, widok czarowny. Nikomu się nie chciało wracać z bażantarni. Dwór rozpadł się nieco dokoła.

Los chciał, by w tłumie szambelan Watzdorf stał przy pięknej Frani Kolowrath. Wcześniej to zobaczyła matka, a że za wachlarzem łatwo było rozmowę prowadzić niepostrzeżonym, usiłowała córkę postawić gdzieindziej, nie mogąc odsunąć Watzdorfa. I to się jéj wszakże nie udało. Nie chcąc więcéj się dać domyślać patrzącym niż wypadało, musiała ich zostawić z sobą.

Watzdorf nie omieszkał z tego korzystać. Tego wieczora, zwykle szyderski, był jakoś smutnym i przygnębionym. Nikogo blisko bardzo nie było, mógł więc półgłosem odezwać się do panny Franciszki:

– Prawdziwie jestem wdzięczny losowi za dzień dzisiejszy,

a rzadko mi się zdarza być mu wdzięcznym. Winienem mu, że panią moją po raz ostatni pożegnać mogę.

– Jakto po raz ostatni? – podchwyciła Kolowrathówna – nie patrząc na niego.

– Niestety, tak jest. Watzdorfa cień tylko tu stoi; czuję, że nademną wisi nie ubłagana zemsta tego ministra-pazia. Jestem szpiegowanym na każdym kroku, być może, iż i sługi moje kupiono. Nie znalazłem wielu papierów, a inne w nieporządku. Domyślam się rewizyi tajemnej. Jeśli ją dopełniono, jestem zgubiony.

– Uciekaj! – zawołała hrabianka gwałtownie – zaklinam cię na wszystko, na miłość moją, na twoją... uchodź. Tu na ciebie nikt nie patrzy, pierwszy lepszy koń i jesteś w Czechach.

– Tak, i Austriacy mnie jutro tu przywiozą.

– Do Prus, do Hollandyi, do Francyi – mówiła żywo Frania.

– Nie mam ani o czem, ani jak – odparł Watzdorf z zupełną obojętnością – A co gorzej, straciłem ochotę do życia, do wszystkiego. Cóż mi tam? Dla mnie niema szczęścia...

Franiu – dodał cicho – nie wiem, co się stanie zemną; ty jedna może nie zapomnisz o mnie, i ty się pomścisz za Watzdorfa. Będiesz żoną tego człowieka: bądź jego katem...

Musieli zamilknąć dla wrzawy, Watzdorf spojrział w jej oczy, które strzeliły ku niemu ogniem.

– Jeżeli jutro nie pokażę się na dworze, zemsta mnie dosięgła – rzekł – mam przeczucia, których się pozbyć nie umiem.

– Ale zkądże podejrzenia? zkąd domysły?

– Przed godziną wróciwszy do domu, znalazłem wszystko przewrócone; sługa znikł, a z nim to, co mnie mogło najciężej obwinić.

Bądź zdrowa! – dodał głosem wzruszonym. – Ty będziesz żyć, ja zagasnę gdzieś między czterema murami, wśród głuchego milczenia. Franiu, zaklinam cię, upuść chustkę, zgub rękawiczkę; położę ją na sercu: ukoj mój ból twojém wspomnieniem.

Wzruszona Kolowrathówna zręcznie upuściła z rąk chustkę, Watzdorf się schylił i niepostrzeżenie wcisnął ją za suknię, na piersi.

– Dziękuję ci – odezwał się – jeszcze chwila, zgasną dla mnie oczy twoje i innym będą świeciły. Franiu, bądź zdrowa! adio na wieki!...

Temi wyrazami dokończył, widząc zbliżającą się matkę, która prawie gwałtem już, korzystając z zamętu i gwaru, odciągnęła córkę. Watzdorf ustąpił nieco w tył. O kilkanaście kroków tylko od niego, gdy królewicza zabawiał O. Guarini i żona, spotkali się na stronie Brühl z Sułkowskim.

– Słowo, – rzekł pierwszy poruszonym głosem – nie omyliły mnie moje domysły.

– Jakie? co? – spytał hrabia dosyć obojętnie.

– Zrobiono rewizyą u Watzdorfa, przetrzesiono papiery; pełno paszkwilów – mniejsza o to: pięćdziesiąt sztuk medalów i list fabrykanta, który mu się tłumaczy, iż rysunek przysłany jak mógł najlepiej wykonał.

Dowód tak zabijający, iż więcęj na zgubienie człowieka nie potrzeba...

Słyszając to Sułkowski, pobladł.

Brühl wsunął mu w rękę papier.

– Weźcie to, proszę; ja sam przez się nic czynić nie chcę – uczynicie co się wam podoba; lecz jeśli Watzdorfa nie wsadzicie do Koenigsteinu... Któż wie, czy tam jeden z nas później nie zajmie miejsca dlań przeznaczonego. Zuchwalstwo i bezwstyd wiele mogą... Czyń hrabio co chcesz, ja ręce umyвам, osobistęj krzywdybym nie poszukiwał... Królewicz jest dotknięty... To zbrodnia obrażonego majestatu, a za tę karzą śmiercią...

To mówiąc Brühl, szybko się usunął; twarz jego przybrała zwykły uśmiech. O kilka kroków zobaczył hr. Moszyńską i zwolna zwrócił się do nięj, witając ją z poszanowaniem i ceremonialną uniżonością, na co piękna Fryderyka dumnym i zimnym skinieniem głowy odpowiedziała.

Frania Kolowrathówna szła jakby ciągniona przez matkę, pół martwa, dumna, milcząca, ale bez łzy w oku. Kilka razy obejrzała się, gdzie stał Watzdorf, który się zdawał téż ani słyszcć co się dokoła niego działo.

Wśród tego zamyślenia gorzkiego zjawił się przed oczyma Kolowrathównęj hrabia Brühl z niskim ukłonem i wdzięcznym uśmiechem. Dumnemu dziewczęciu oczy zajaśniały, wyprostowała się, i z góry, z pewnym rodzajem wzgardy zmierzyła wzrokiem ministra.

– Nieprawdaż – odezwał się słodko – że zabawa była

nadzwyczaj dowcipna i piękna?

– A panowie strzelaliście do podziwienia trafnie – odparła Frania – i nie wątpię, że równiebyście i do ludzi potrafili...

Brühl spojrzał bystro.

– Niewiele w tém mam wprawy – rzekł zimno – ale gdyby w obronie Najjaśniejszego Pana przyszło wziąć jakąkolwiek broń w ręce, nie wątpię, że celniebym strzelał i śmiało.

Pani się także bawiłaś, jak uważałem, doskonale, rozmową z szambelanem Watzdorfem – dodał spoglądając na nią.

– W istocie – odezwała się Kolowrathówna – Watzdorf jest niezmiernie dowcipny: strzelał słowami jak panowie kulami.

– Niebezpieczna to broń, kto się z nią dobrze obchodzić nie umie – rzekł Brühl – można nieostrożnie zabić się samemu...

Stara Ochmistrzyni przerwała tę niemiłą rozmowę, wejrzenie Frani ją zamknęło. Chciała zrazu przemówić do Brühla, duma jój nie dozwoliła; nie była też pewną, czy Watzdorf nie przesadził niebezpieczeństwa i nie tłumaczył fałszywie kradzieży popełnionej w domu.

Królewiczówna nieco wcześniej wyjechała z damami, Fryderyk w poufałym gronku pozostał. Oddawna już Sułkowski usiłował się zbliżyć do niego. Część drogi chciał królewicz przebyć pieszo, skorzystał z tego ulubieniec i zajął miejsce przy nim.

Inni szli opodal nieco.

Brühl uparcie towarzyszył Ochmistrzyni.

Gdy pozostali sam na sam z królewiczem, który był w bardzo

wesołym usposobieniu, Sułkowski nie chciał czekać dłużej ze sprawą Watzdorfa. Ciężyła mu ona, rad się był jęj pozbyć co rychlęj, a być może, iż lękał się ucieczki szambelana, gdyby postrzegł się zdradzonym.

– Po takięj miłęj zabawie – odezwał się Sułkowski – co to za niemiły obowiązek, być zmuszonym zasmucić W. Królewiczowską Mość.

Posłyszawszy to Fryderyk, posępną zrobił minę i spojrział z ukosa na ministra, jak gdyby mu się chciał wypraszać, ale ten po małym przestanku mówił dalej:

– Rzecz jest nie cierpiąca zwłoki, wystawieni jesteśmy ja i Brühl, a nawet pan nasz najmiłościwszy na pośmiewisko Europy; nie mówiłem o tém wprzódy, chcąc oszczędzić przykrego wrażenia, jakie niewdzięczność obudza... W Holandyi wybito medal szyderski... ohydny.

Fryderyk przestraszony, zżymnął się, stanął; twarz mu zbladła jak ojcu, gdy w gniew ów straszny wpadał i od pamięci odchodził.

– Nie chciałem wspominać o tém, dopóki nie odkryliśmy sprawcy – kończył Sułkowski. Ja i Brühl przebaczylibyśmy obrazę naszą, ale obrazy majestatu jako ministrowie nie możemy puścić bezkarnie.

– Ale któż? kto? – zapytał Fryderyk.

– Człowiek okryty łaskami waszemi, którego cała rodzina winna wszystko Najjaśniejszego Pana ojcu i jemu. Niewdzięczność i zuchwalstwo bezprzykładne...

– Kto? kto? – nalegał królewicz.

– Szambelan Watzdorf...

Królewicz powiódł oczyma osłupiałemi dokoła.

– Macie dowód?

– Przy sobie: w ręku trzymam list znaleziony u niego i medale...

– Widzieć nie chcę, nie chcę – odparł królewicz, ręką się zasłaniając – ani ich, ani jego: precz... precz.

– Puścić go bezkarnie? – zapytał Sułkowski – nie może być. Poniesie za granicę potwarze i szerzyć je będzie, kto wie jakie? Może na ś. p. ojca W. Królewskiej Mości...

– Szambelan Watzdorf? Watzdorf młodszy? – powtarzał Fryderyk – lecz cóż? lecz jakże...

To mówiąc, otarł pot z czoła.

– Königstein – rzekł krótko Sułkowski.

Nastąpiło milczenie... ze spuszczoną głową szedł zwolna królewicz: była to pierwsza za jego panowania wina i kara tak surowa.

– Gdzie Brühl? – spytał.

– Brühl zostawił to mnie i poruczył – odpowiedział hrabia.

– Watzdorf! Königstein! – powtarzał wzdychając Fryderyk; potem stanął, wlepił oczy w Sułkowskiego i rzekł:

– Nie chcę o tém słyszeć więcej; dość – nie chcę. Róbcie co chcecie...

Sułkowski odwrócił się ku idącemu za niemi O. Guariniemu, który królewicza najlepiej umiał rozśmieszać i skinął nań. Padre

przybiegł coprędzój, nie domyślając się więcój nic, oprócz że był tu na coś potrzebny.

– Jestem w rozpaczycy! – zawołał – gęś moja, *Angela o l'amorosa*, zginęła... uleciała, widząc się pogardzoną przez Baudissina; musiała się puścić w lasy szukając śmierci. Biegałem za nią i miałem to nieszczęście, żem trzy panie nasze brał z kolei za gęsi: nigdy mi tego nie darują...

Smutna twarz królewicza, w miarę jak słuchał rozjaśniać się zaczęła. Jak z posepnego nieba chmury, schodziły z pięknego jój czoła marszczki; usta ściśnięte rozchodziły się, na policzkach pierwiosnek uśmiechu zarysował dwa ledwie znaczne fałdy; białe zęby pokazały się z pod warg powoli. Patrzył na jezuitę, jakby w jego pogodnej, naiwnie uśmiechniętej twarzy, trochę przypominającej włoskiego pulcinella, chciał zaczerpnąć potrzebnego mu wesela...

Guarini przeczuwszy, że coś dlań niezrozumiałego musiało dobrego pana zasmucić, wysilił się z całym swoim dowcipem, aby co rychléj zetrzeć ślady nie miłego wrażenia.

Jakoż w miarę jak się sypały włoskie żarty i przycinki, królewicz zdawał się zapominać o doznanej przykrości i dobroduszenie znowu mu się uśmiechał. Lecz trzeba było wysiłków kilku wesołego Ojca, aby całkowicie znieść powracającą chmurę tę i nie dał spoczynku królewiczowi, aż póki nie posłyszał tego znanego sobie głośnego, szczerego śmiechu, który zwiastował, że Naj. Pan o troskach tego świata zapomniał całkowicie.

Nazajutrz znikł radzca i szambelan królewski Watzdorf. Nikt się nie śmiał dopytywać zrazu, co się z nim stało: była to pierwsza tego panowania ofiara. W kilka dni pocichu zaczęto szeptać sobie, iż go zawieziono do Königsteinu. Królewicz nigdy więcej imienia jego nie wspominał; Sułkowski i Brühl zdawali się nie chcieć wiedzieć o tém.

Trwoga padła na dwór i nieprzyjaciół skrytych obu ministrów. Brühl, przy zdarzonej okoliczności, o ile mógł głośno, umył ręce od téj sprawy, zarzekając się, iż wcale o niej nie wie i do niczego się nie mieszał.

W Merkuryuszu historycznym, rodzaju gazety francuzkiéj, wychodzącéj naówczas, stały wkrótce potem następujące słowa:

„Ci, którzy znali zblizka swawolny i satyryczny sposób myślenia tego młodego pana, który w sprawach bezpośrednio po śmierci Augusta Mocnego zaszyłch, nie jedną miał zręczność, z kaustycznym swym się popisać dowcipem, nie będą zdziwieni katastrofą, jaką mu oddawna wprzód przepowiadano.”

Watzdorf już się nigdy więcej nie pokazał światu. Po czternastoletniém więzieniu na Königsteinie, zmarł dobitny tęsknotą i niewolą.

II

W rok po tych wypadkach, pałac w którym Brühl mieszkał, jaśniał rzesistemi światłami. Nigdzie wspaniałej jak w Dreźnie nie umiano występować przy uroczystościach, nigdzie się nie bawiono z większym przepychem, którego tradycje po sobie August Mocny zostawił. Od dworu zbytek ten przechodził do otaczających pana, potem do zetkniętych z nimi: do mających stosunki z wyższem towarzystwem, w części nawet do zamożnego mieszczaństwa. Bankierowie ówczesni dawali bale dla dworu, mile był widziany każdy, kto się do zabawy przyczyniał, a umiał się czémś niespodziewaném przysłużyć.

Ognie sztuczne, illuminacje, wieńce, kwiaty, muzyki, obrazy występowały, ilekroć najmniejsza nastęczała się zręczność³.

Brühl był jednym z najrozrzutniejszych dorobkowiczów swojego czasu, dziwił on tych nawet, którzy się czemukolwiek dziwować przestali. Oświecenie jego pałacyku wytwornością swą przechodziło oddawna widywane w stolicy. Ogromny tłum ludu w pewném przyzwyczajeniu oddaleniu przypatrywał się z poszanowaniem należném kamienicy tak możnego pana, błyszczącej różnokolorowemi lampami, jakby wieńcami drogich kamieni i kwiatów. Na samym szczycie nad bramą w owalnej tarczy, po nad którą spadały dwie girlandy różowe z zielnią, białemi gwiazdy wysadzane, świeciły dwie czule z sobą

³ *zręczność* (daw.) – dziś: sposobność, możliwość [przypis edytorski]

złączone głoski: **F.** i **H.** Trochę niżej dwie w transparentach tarcze herbowe, pochylone ku sobie i sparte, mieściły dwa pola niezrozumiałemi dla gminu hieroglifami heraldycznymi zapisane. Dworacy tłumaczyli ciekawym, że to były nowożeńców rodowe znamiona.

Cizba stała już dość długo przed pałacykiem, gdy od strony zamku z pochodniami, z laufrem, z pocztylionami przodem nadjechała karetka. Wiozła ona matkę i państwa młodych, którzy po przyjęciu i balu na zamku do własnego powracali domu. Piękna pani pierwszy raz miała jego próg przestąpić.

Chociaż nad nią nie spodziewano się innych gości, od sieni aż na pierwsze piętro wiodące wschody zajęte były po obu stronach całym szeregiem w pyszną liberyą postrojonych lokajów; na górze stali kamerdynerowie, marszałek dworu i paze ministra.

Królewsko już urządzony był dom jego na przybycie żony: wyświeżony, odnowiony i powiększony. Świecił cały od porcelany, sreber, bronzów, kobierców i tysiąca fraszek a cacek, któremi wiek ów otaczać się lubił. Brühl tłumaczył się z tej okazałości tém, że panu swojemu honor nią czynił; zaręczał, że ostatni grosz oddawał na nią, aby przepychem swoim saskiemu domowi przyczynić blasku. Gdy powóz zatrzymał się przededrzwiemi pałacu i wielka ochmistrzyni wysiadła z niego z pomocą zięcia, dano jej pierwszy krok i sama powoli weszła na górę. Brühl chciał podać rękę żonie, która udawa, że tego ruchu nie widzi i poszła obok niego sama. Piękna twarz panny Franciszki na ten dzień miała wyraz powagi, dumy i smutku,

obudzający w świadkach podziwienie. Śladu weselnego szczęścia na tém obliczu pochmurném nie było. Wszystkie cuda i świecące przystrojenia kosztowne domu obojętném mierzyła okiem, jakby ich widzieć nie chciała; szła jak ofiara zrezygnowana, która wie, że się losowi nie oprze, ale się szczęścia nie spodziewa. Znać miała czas ostygnąć, rozmyślić się, oswoić z położeniem swoim, bo i strasznego bólu nie niosła na twarzy, ale chłód tylko przerażający.

Ból jeśli był, stał się chorobą trawiącą, powolną, która się z życiem splotła.

W salce na górze, której ściany rześnistymi wiązkami jarzącego światła były okryte i błyszcząły całe lustrami, kryształowemi łyzy i iskrzącemi ramami obrazów, zatrzymała się hrabina Kolowrath, obejrzała się, szukając córki idącej za nią. Frania szła i stanęła przy niej milcząca. Z drugiej strony Brühl w fioletowym ze złotem fraku aksamitnym ślubnym, w białej ze złotem kamizelce i koronkach, z uśmiechem na ustach, z bukietem u guzika, stał z pokorą i słodyczą uśmiechając się do matki.

Milcząco przysunęła się ona do córki, pochyliła głowę, przyłożyła usta do jój czoła i długim pocałunkiem żegnała odchodzące dziecię, które nie wzruszyło się tym czułości dowodem. Matce, choć dwór i życie ostudziły ją dawno, łyzy się zakręciły w oczach.

– Bądźcież szczęśliwi – szepnęła – błogosławię was! Bądźcie szczęśliwi – i rękę przyłożyła do oczów wzruszona. Brühl

pochwycił drugą, okrywając ją pocałunkami.

– Potrzebujecie być sami – dodała głosem złamanym. – Moim obowiązkiem było odwiedzić tu was i pobłogosławić; niechce was męczyć: ja sama muszę spocząć po tych wrażeniach...

Odwróciła się do Brühla.

– Polecam ci żonę – rzekła – bądź dla niej dobrym, bądź przywiązany mężem. Frania przywiąże się też do ciebie: bądźcie szczęśliwi! Szczęście na ziemi kochać i niestałe... słodzić sobie należy dni życia a nie zatruwać. Franiu, ufam, że będziesz i ty dobrą dla niego...

Zakryła oczy, jakby jakaś myśl dopowiedzieć jej przeszkadzała, co miała w duszy, jakby coś wstrzymywało jej wyrazy na ustach; jakby się byli powinni dorozumić wiele, czego dotknąć nie mogła.

Jeszcze raz pochyliła się do czoła córki, która stała jak posąg marmurowy. Brühl pocałował ją w rękę, ruszyła się do powrotu. Zięć podał jej rękę z wdziękiem i nadskakującą grzecznością i prowadził znowu na dół do oczekującego dworskiego powozu, do którego wsiadła, słowa nie mówiąc, w ochmistrzyni i rzuciła się w głąb jego, ukrywając od oczów ciekawej gawiedzi.

Na górze pozostała sama jedna na chwilę pani młoda, jeszcze się nie poruszyła z miejsca zadumana, a gdy Brühl powrócił i rękę jej chciał ująć, spojrziała nań niemal zdziwionymi oczyma, jakby zapomniała i gdzie była i że się stała żoną jego.

– Na miłość Bożą! – szepnął minister – tysiące oczów i z ulicy i w domu patrzy na nas: bądźmy choć dla nich szczęśliwi.

Na scenie życia wszyscyśmy aktorami (był to ulubiony i często powtarzany aksyomat jego), odegrajmyż dobrze naszą rolę.

To mówiąc, podał jęj rękę i obojętną poprowadził przez cały szereg oświeconych pokojów, ku jęj apartamentom. Wszystko, co roztargnione oczy jęj spotykały, było tak wspaniałe, bogate i piękne, że w każdym, prócz nięj wywołałoby okrzyk zachwycenia. Ona szła nie patrząc i nie widząc. Znaleźli się wreszcie w gabinecie toaletowym pani, poprzedzającym wyświeżoną sypialnią, w której dwie alabastrowe na kolumnach lampy, blade, tajemnicze światło roztaczały.

Młoda pani zobaczywszy przed sobą drzwi otwarte, stanęła: oczyma poszukała krzesła i padła na stojące przed gotownią. Sparła rękę na stole okrytym koronkową oponą i zadumała się milcząca.

Tu byli sami, szmer tylko ciżby z ulicy, podziwiającej illuminacją dochodził.

– Pani – rzekł Brühl głosem słodkim i miękkim – jesteś w swym domu, a pierwszy twój sługa stoi przed tobą.

Chciał przykleknąć przed nią; Frania powstała nagle, westchnęła, jakby z piersi zrzuciła ciężar i zawołała głosem, w którym smutku nie było:

– Komedyi dosyć mamy dzień cały, z sobą jęj grać nie potrzebujemy: uwolń mnie pan od nięj i siebie. Musimy być szczerzy i otwarcie bądźmy nimi od pierwszego dnia. Zawarliśmy nie małżeństwo, nie związek serca, ale kontrakt: starajmy się go korzystnym dla obu stron uczynić.

Zacząła przed gotownią, nie patrząc na stojącego za nią Brühla, zdejmować wieniec z głowy i długą zasłonę. W głosie wzruszenia czuć nie było.

– Jeśli pan nie życzysz sobie – dodała – aby naszą rozmowę podsłuchiwano, racz się upewnić, żeśmy sami.

– Tego pewien jestem, bo wydałem rozkazy – zawołał Brühl zimno – a moje rozkazy zwykle są szanowane.

Frania nie mówiła nic: z flaszki, stojącej na gotowni wzięła dla orzeźwienia się Larendogry i odwilżyła nią skronie.

– Szczęśliwą jak bywają inne kobiety – mówiła głosem jasnym, stojąc ciągle u gotowni i rozpinając drobne stroju swego dodatki, Frania – szczęśliwą być nie mogę... ten którego kochałam, nie kryję się z tém, leży w więzieniu na słomie wilgotnej i niema promyka słońca, ani niebios widoku... Waćpan kochasz inną, jesteśmy sobie obojętni; chociaż nikt mi nie mówił, na jaką jestem przeznaczona ofiarę, rozumiem to dobrze. Ale chcę życia użyć i użyję go... swobodnie, wszystkich jego przyjemności i rozkoszy. Trucizna musi być osłodzoną; to mi się należy... Lubię przepych i mieć go będę około siebie, potrzebuję roztargnienia, aby nie płakać; wrzawy, aby głosu serca nie słyszeć: wszystko to być musi... Pan mi jesteś obcym, ja panu... możemy być dobrimi przyjaciółmi, jeśli zasłużysz na to... Któż wie, mogę mieć fantazją jaką i przez parę dni stać się miłą dla niego, ale niewolnicą niczyją nie będę... nawet...

Odwróciła się ku Brühlowi, który stał niemy i zakłopotany.

– Rozumiész mnie pan?

Minister milczał.

– Nikt mi o niczym w świecie nie mówił – ciągnęła dalej – kobięcym instynktem odgadłam wszystko; przeznaczenie moje znam i wiem...

– Pani – przerwał Brühl – są rzeczy, które przez usta przechodzić nie powinny, które zdradzić, jest to się skazać...

– Nie potrzebujesz mi mówić tego, ja wiem wszystko; powtarzam panu nawet to, co się panu zdaje tajemnicą. August II potrzebował sławy i rozgłosu ze swych miłostek, pobożny syn jego nie dopuści nawet podejrzenia na siebie. Dlatego wszystko się musi ułożyć tak, aby ludzkie oko nie widziało, ludzkie nie słyszało ucho.

I sucho śmiać się zaczęła.

– Spodziewam się, że dając panu władzę... potęgę, łaskę, sama też korzystać z nich muszę, i żądam, aby moje fantazyje były poszanowane; a że mieć będę fantazyje, to niezawodna. Ciekawą jestem życia, łaknę go, potrzebuję się upić, aby o bólu zapomnieć.

– Myślisz – poczęła żywiej – że mi w którejkolwiek życia godzinie zniknie z oczu obraz tego nieszczęśliwego? Widzę mury, któremiście go otoczyli; izdebkę ciemną, tarczan⁴ twardy, twarz stróża i oblicze jego zwiędłe, w długich jak wieki dniach, wpatrzone w małe okienko. Ale w tym człowieku mieszka wielki duch co go trzyma, co go może będzie trzymać tak długo, aż się kiedy drzwi więzienia otworzą. Prawda to, że druga wasza ofiara,

⁴ *tarczan* (daw.) – dziś: *tapczan*. [przypis edytorski]

biędny Hoym już się obwiesił w więzieniu?

Brühl patrzył w podłogę.

– Tak – rzekł sucho – i szkoda nie wielka: ja po nim płakać nie będę.

– Ja także nie – odparła Frania – ale tamtego nie zapomnę. Rozumiész pan, że ręka co go tam strąciła, choć ją z moją u ołtarza związano... ścisnąć méj dłoni nie może... Jesteśmy i będziemy sobie obcy.

Uśmiéchnęła się szydersko.

– Przyjąłeś pan katolicką wiarę dla mnie – rzekła – chociaż i to być ma tajemnicą. To także zaleca mi was niepospolicie! Co za takt i polityka!! Król polski potrzebuje ministra katolika w Polsce: Brühl jest tam katolikiem; Kurfirst saski musi mieć protestanta w Saxonii: Brühl tu będzie gorliwym luteraninem. Gdyby Zinzendorf został królem u Morawskich Braci, panbyś pewnie należał do herrnhuckiej gminy... *C'est parfait! c'est délicieux!*

– Pani! – zawołał głosem wzruszonym Brühl – nie wiedząc, dotknęłaś mnie najboleśniej. Ja jestem chrześcianinem i pobożnym; wyznanie dla mnie rzeczą podrzędną, ale ewangelia i jój przepisy, miłość Zbawiciela...

Wzniósł oczy w niebo.

– To należy do pańskiej roli: rozumiem – odezwała się Frania – a więc usuńmy to. Jabym spocząć pragnęła i być samą.

Spojrzała mu w oczy.

– Lecz cóż powie służba? co pomyślą ludzie, jeśli pani mnie

z tą wypędzisz? To nie może być!

– Ale inaczej być nie może – zawołała Frania – pan możesz tu w gabinecie na sofce, na fotelu, gdzie chcesz przepędzić noc, ja pójdę do sypialni i zamknę się.

Brühl spojrzął na nią niespokojny.

– Pozwolisz więc pani, abym poszedł się przebrać i powrócić tu. Nikt w świecie stosunku naszego znać ani się go domyślać nie powinien. To pani wiadomo.

– Rozumiem! rozumiem! musi to być wszystko tajemnicą, a my najczulszemi małżonkami. Wyznaj pan, że po białym dniu to platoniczne małżeństwo nasze, będzie nadzwyczaj zabawne. Ludzie będą panu zazdrościć, kobiety mnie; bo pan dla innych jesteś nie brzydkim mężczyzną, ale król daleko od was piękniejszy i – król w dodatku! Wolę być tajemną króla kochanką, niż prawdziwą ministra żoną.

Z szyderstwem śmiać się zaczęła.

– Wystawiam sobie jak N. pan na mnie przy żonie obawiać się będzie rzucić okiem, jaki będzie musiał być chłodny...

– Pani – łamiąc ręce przerwał Brühl – ściany mają uszy!

Frانيا ruszyła ramionami.

– Pani wiész – szepnęła – że gdyby się to nietylko wydać miało, ale gdyby najłżejsze posądzenie, cień tylko prawdy wyszedł na świat, dla mnie i dla was wszystko zgubione.

– Szczególniej dla mnie – odparła kobieta – bobym została z panem *en tête à tête*, bez żadnego widoku pociechy, a toby mi życie struło...

Więc – cicho.

Brühl, nic nie mówiąc, wysunął się z pokoju. Salony, które przechodził, jeszcze stały oświetlone; przesunął się przez nie wolnym krokiem i na drugim ich końcu wszedł do swojego gabinetu. Kamerdyner i lokaj czekali tu na niego, wiedząc, że przyjdzie się przebierać.

Na stoliczku leżał strój ranny: paradny szlafrok z lyońskiego atłasu niebieskiego w żywo barwione kwiaty i świeża, biała jak śnieg bielizna, i lekkie buciki jedwabne. Wszystko to było niepokalaną świeżością.

Ponieważ przejście przez salony miało być znakiem pogaszenia świateł, kamerdyner wziął dwa srebrne lichtarze w ręce i poszedł przodem, świecąc mu do sypialni. U drzwi ję Brühl go skinieniem odprawił i wszedł.

W gabinecie nie było nikogo, oprócz zrzuconej zasłony i wianka pani młodej, jej rękawiczek i chustki. Drzwi dalsze od sypialni, były zamknięte.

Nocna lampka paliła się w kątku... w pokoju mrok panował i cisza. Zegar w mieście bił późną nocy godzinę. Brühl spojrzał najprzód przez okno, w ulicy już było pusto, iluminacja gaśła. Po nad czarnymi kamienicami, stojącymi w mrokach, księżyc się wzbijał wysoko i pływał w bawełnianych chmurach białych.

Noc była ciepła, letnia, milcząca... otworzył zdaleka okno, bo go powietrze dusiło.

W sypialni najmniejszego nie słyszeć było szelestu.

Mąż pięknej Frani, przeszedłszy kilka razy po pokoju,

obejrzał się, szukając miejsca dla spoczynku. Mała sofka i przystawione do niej krzesło, musiały mu zastąpić pościel. Sparł się na rękę i dumął... uśmiech ironiczny przebiegał mu usta, kilka razy spojrzął na drzwi sypialni i wkrótce, wszedłszy w innego rodzaju rozmyślenia o przyszłości, znużony drzemać zaczął.

W snach przed oczyma śniło mu się złoto, świeciły brylanty, przewijały koronki, sunął cały przepych królewski, niemy, bez twarzy ludzkiej, bez serca; potem obłoki białe, na nich cyfra z hrabiowską koroną i mroki.

Gdy oczy znużone otworzył, dzień już był biały, który go nieco przestraszył. Ruszył się coby prędzej z improwizowanego, a niewygodnego łóżka swego, krzesło postawił w miejscu, obwinął szlafrokiem i na palcach wyszedł do swoich pokoi.

Oczy jego szukały najprzód zegara... z przerażeniem ujrzał na jednym z nich godzinę szóstą ranną, o której zwykł był dzień już rozpoczynać. Wchodząc do gabinetu swego, spostrzegł też stojącego już w pośrodku O. Guariniego, w swym rannym surducie szarym z czarnymi guziczkami, uśmiechającego się dobrodusznie.

Jezuita pozdrowił go milczący uściskiem ręki, którą Brühl ucałował, zarumieniony nieco i zmieszany. Nim przemówili, oczy ich nawzajem się badając, po kilkakroć spojrzały na siebie wzajemnie.

Guarini zbliżył się doń z tajemniczą twarzą.

– Ministrowie, jak wy, nawet nazajutrz po ślubie, nie mają

prawa wysypiać się długo, szczególniej tacy, jak wy, co macie nieprzyjaciół groźnych.

Rękę podniósł do góry,

– Z wami Ojczy i przy pomocy królowej, obawiać się ich nie mam potrzeby – odezwał się Brühl.

– Obawiać się i być ostrożnym potrzeba zawsze – szepnął O. Guarini... Zawsze, choćbyście mieli za sobą królową nawet, bo królowe nie zawsze panują, mój drogi.

– Ale wy Ojczy – jeszcze ciszej dodał minister – panujecie i panować spodziewam się będziecie sumieniu króla, a pana naszego zawsze.

– Moje dziecko, ja też nie jestem nieśmiertelny, jestem stary i czuję żem grat, który wkrótce pójdzie na śmietnisko.

Chwilkę pomilczeli. Guarini się przeszedł po pokoju z rękami w tył założonemi.

– Księcia Lichtensteina trochę przysposobiłem i ja, i królowa – rzekł – ale powoli idzie, oględnie i w ogóle z tą całą kampanią naszą spieszyć nie można.

Dajmy czas królowi, mnie, okolicznościom, aby naszego pana przysposobiły. Dotąd Sułkowski u niego pierwszym. Sułkowski wszystkiem... Wy pamięć ojca macie za sobą; starajcie się mieć coś więcej...

Zamilkł O. Guarini.

– *Piano, piano, pianissimo!* – szeptał.

Do naszego pana, trzeba umieć mówić, umieć trafić. *Al canto si conosce l'ucello, ed ad parlar il cervello* (Ze śpiewu poznać

ptaka, a z mowy móżgownicę).

I uśmiechał się poczciwy Padre, a że lubił włoskie, ludowe pogadanki dodał: *Duro con duro non fan mai muro*. (Twardy z twardym muru nie zlepi). Sułkowski bywa *duro*, waćpan powinieś być mięciuchny i giętki.

Ma piano, piano!

Tu zbliżywszy się do ucha, począł coś szeptać żywo i ruchami rąk sobie dopomagając, potem na zegar spojrzawszy, chwycił za kapelusz i wyniósł się pospiesznie.

Z drugiej strony już pukano.

Żółta, pokrzywiona twarz Hennicke, pokazała się ostrożnie we drzwiach napół odemkniętych i cały radzca wszedł za nią. Pod pachą dźwigał masę papierów; najprzód zmierzył okiem Brühla, jakby z twarzy się dobadywał termometru humoru.

– Ekscelencyo – rzekł – najprzód powinszowania moje.

– Najprzód interesa – przerwał minister... – pieniędzy potrzebujemy, pieniędzy i zawsze pieniędzy dla dworu, dla spraw w Polsce, dla króla, dla mnie, dla ciebie, nie licząc Sułkowskiego... Hennicke – pieniędzy!

Zaciął usta ex-lokaj.

– Piszczą łajdaki – odezwał się – szlachta się zżyma, miasteczka burzą, odwołują się do przywilejów, do *immunitates*, do uchwał.

– Kto? – zapytał Brühl.

– Prawie wszyscy.

– Ale któż ich prowadzi? Któż najgłośniej gada?

– Jest ich dosyć.

– Trzech lub czterech... posłać szwajcarów niech wezmą i do Pleissenburga; tam rozum przychodzi: reszta będzie siedzieć cicho.

– Ale kogo wybrać – spytał Hennieke.

– Zwątpiłbym o sobie, gdybyś tego nie rozumiał. Za wysoko nie sięgaj, żeby którego z Sułkowszczyków nie zaczepić. Za nisko nie bierz, bo to się nie zdało na nic. Człowieka, co ma stosunki na dworze, nie ruszaj; ale pokaźnych parę...

– A racya? – spytał ex-lokaj.

Brühl się rozśmiał. Czy ja ci potrzebuję racyą dyktować? Słowo głośno wyrzeczone, obraza majestatu; rozumiesz, lub... głupis... Hennieke.

– Rozumiem – rzekł Hennieke i westchnął.

Brühl się zaczął przechadzać żywo.

– Nie wiem, czy Globiga dziś zobaczę; trzeba, żebyś mu powiedział odemnie, że moich rozkazów nie spełniają.

Na ostatniem polowaniu o włos mały, nie podano petycyi królowi... Szlachcic się zaczął w krzaku. Na kilka godzin wprzód przed polowaniem, przejażdżką, wyjściem, drogi powinny być oczyszczone, postawione warty: żywěj duszy nie można się dać docisnąć... Kto wie, w jakim zamiarze...

– Ja, Ekscellencyo, wszystkiego sam dopilnować nie mogę... a Loss, a Stammer, a Globig, a inni, co robią?

– Hennieke powinien mieć rozum za wszystkich, jeśli za nich chce mieć łaski.

Znowu rozmowa w poufały się szept zmieniła, ale ten trwał niedługo. Brühl ziewał znużony. Hennicke zrozumiał to i wysunął się. Przyniesiono czekoladę. Połknął ją z kilką biszkoptami prędko Brühl, wody się napił i dzwonił już na swojego mistrza garderoby.

W pokoju do ubierania było wszystko gotowém, tak, że ranny strój nie wiele czasu kosztował. *Port-chaise* stała u ganku z hajdukami.

Była godzina dziewiąta prawie, gdy minister kazał się wieść do mieszkania posła austriackiego, księcia Wacława Lichtensteina. Poselstwo naówczas zajmowało jeden z domów w Starym Rynku; podróż więc długą nie była. O téj godzinie zwykle Brühl bywał już u króla, tego ranku korzystał ze swobody, jaką mu dawał ślub wczorajszy, aby odwiedzić księcia Lichtensteina.

Gdy oznajmiono o Brühlu, ksiązę sam wyszedł naprzeciw niego do sali. Minister nie zapominał o tém, że dziś dla całego świata powinien mieć twarz najszcześliwszego w świecie człowieka. Chociaż nieco znużenie na niéj widać było, promieniała doskonale przybraną radością i swobodą.

Ksiązę Lichtenstein w całym znaczeniu wyrazu pan i dworak, jednego z najstarożytniejszych w Europie domów panujących, miał fizyognomią do swéj roli wybornie stworzoną. Słuszny, piękny, rysów szlachtetnych, postawy pańskiej, grzeczny, miły, w oczach miał połyski rozumu i przebiegłości dyplomatycznój. Jakkolwiek Brühl niedawno małym był szlachtetką, dziś pierwszy

minister spokrewnionego z austriackim domem, mąż hrabianki Kolowrath, stał prawie z Lichtensteinem na równi. Miał jednak takt nie okazywać tego po sobie i z grzecznością tylko, ale z uszanowaniem, przywitał posła.

Wymieniwszy słów kilka, wyszli do gabinetu. Książę podał mu krzesło i posadził go naprzeciw siebie.

– Wracam – rzekł – do wczoraj tak nieszczęśliwie przerwanej rozmowy.

Mój drogi panie Henryku, zapewniam was, możecie się wszystkiego dobrego spodziewać od mojego dworu: tytułu, majątku, protekcji, opieki w każdym razie, ale musimy z sobą iść ręka w rękę... rozumiecie mnie.

Brühl podał rękę natychmiast.

– Musimy iść ręka w rękę – rzekł – tak jest; ale rąk naszych nikt nie powinien widzieć... najgłębsza tajemnica: inaczej wszystko to pryśnie jutro. Padnę ja, a ze mną ten, co wam jeden służy tu wiernie.

– Czyż wątpicie? – zapytał książę – moje słowo waży, jak cesarskie...

– Pierwszego mi starczy – podchwycił Brühl.

– Jestże to prawdą, możeż to być, ażeby Sułkowski miał jakieś myśli i plany na przyszłość? – spytał książę.

– To nie ulega wątpliwości.

– Ale nic określonego.

– A! – zawołał Brühl – określonego tak dalece, iż wiem, że się tyczy zajęcia Czech... plan jest osnuty nie w myśli, ale na

papiérze...

– Wyście go widzieli!

Brühl się uśmiechnął tylko.

– Moglibyście go mieć? – dodał nagląco książę Lichtenstein.

Uśmiech ministra stał się jeszcze wyrazistszym.

Książę pochylił się doń i pochwycił go za obiedwie ręce.

– Jeśli mi dacie ten plan na piśmie, jeśli mi go dacie...

Zawahał się nieco.

– To tak, jakbym głowę moją dał w ręce księciu – odparł cicho

Brühl.

– Ale spodziewam się, że moglibyście i ją mi powierzyć – przerwał Lichtenstein.

– Bezwątpienia – mówił dalej minister – lecz gdy plan będzie w rękach waszych, naówczas nie ma innej alternatywy: jeden z nas paść musi. Wiecie książę, jak król jest do niego przywiązany...

Lichtenstein porwał się z siedzenia.

– Ale my mamy królową, my mamy O. Guariniego, my mamy was i O. Voglera, i Faustyne! – zawołał szybko.

Brühl się uśmiechnął.

– Sułkowski ma słabość i serce królewskie.

– Prawda, że ludzie słabi bywają uparci – odezwał się książę – lecz na słabych zawsze powolnie i zręcznie działając, wpłynąć można. Nigdy nagle, bo ich słabość, którą czują sami, rodzi upór: należy ich tak brać, aby nie wiedzieli, że są więci, aby sądzili, że działają przez się sami. Od czegoż pocziwy O. Guarini!

– Sułkowski jest towarzyszem młodości króla, jest jego powiernikiem w tych sprawach, w których król nie zwierza się nikomu.

– Nie przeczę, że robota trudna; nie uznaję jej jednak niepodobną – odparł Lichtenstein... Ale ten plan? na Boga! widzieliście go? czytaliście go?!

Niecierpliwą tę natarczywość księcia, powstrzymał Brühl zimną twarzą i postawą.

– Pozwolisz książę, abyśmy mówili najprzód o warunkach.

– Z największą chęcią.

– Ubolewam nad tém, bo cenię Sułkowskiego z innych względów – mówił minister – jest przywiązany do króla, jest mu wierny; zdaje mu się, że Saxonią uczyni potężną – ale, jeżeli wpływ jego się zwiększy, ambicya może na niebezpieczne poprowadzić drogi. Sułkowski świętej naszej królowej ocenić nie umie, Sułkowski nie dosyć szanuje duchowieństwo...

– A! mój Brühl kochany – przerwał Lichtenstein – ja go znam, jak wy, a może lepiej, bo się przedemną nie maskuje, znam go, gdy był z królem w Wiedniu.

– Sułkowskiego obalić potrzeba – rzekł Brühl stanowczo. – Więcej nie żądam nic, ale tego dla dobra króla i państwa wymagać muszę. Naówczas ja się potrafię utrzymać sam, a we mnie mieć będziecie najwierniejszego sługę cesarskiego domu.

– Ale ten plan? ten plan? – powtarzał Lichtenstein – daj mi go, na wszystko się zgadzam.

Brühl jakby od niechcienia rękę prawą założył za suknię,

szukając bocznej kieszeni; na ten znak książkę drgnął, przysunął się, ręce obie podniósł.

W białych palcach powoli Brühl podniósł do góry papier, trzymając go przed oczyma księcia.

W chwili gdy z ręki jego miał on się przenieść już do ambasadora, zapukano do drzwi; kamerdyner oznajmił:

– Hrabia Sułkowski!

W mgnieniu oka papier znikł w kieszeni, a Brühl rozparty zażywał tabakę z małej emaliowanej tabakiereczki, którą już dobył z kamizelki.

Sułkowski stojąc w progu mierzył oczyma Lichtensteina i Brühla. Z większą ciekawością niż na posła, zwracał oczy na swojego towarzysza, który się pochylił i z uśmiechem doń dłoń wyciągał.

– Otóż to ranny ptaszek! Od młodej żony nazajutrz po ślubie już biega po ambasadorach. Sądziłem – mówił Sułkowski – żeście jeszcze u nóg swój pani.

– Obowiązki przedewszystkiém – odparł – powiedziano mi, że książę wyjeżdża do Wiednia, nie mogłem się powstrzymać, aby mu nie złożyć mojego uszanowania.

– Książę wyjeżdża do Wiednia? – zapytał zdumiony Sułkowski, zabierając pierwsze miejsce na kanapie – nic o tém nie wiem.

Lichtenstein zdawał się nieco zakłopotany.

– Nie wiem jeszcze, może... może – wyjąknął po chwili – wczoraj coś podobnego powiedziałem na dworze, i widzę, że

Brühl, który wie wszystko, wie już i o tym dzisiaj.

Zaśmiał się, Sułkowski ramionami ruszył.

– Więc to niepewna jeszcze...

– Nie wiem, ale być może – rzucając znaczące wejrzenie na Brühla – rzekł Lichtenstein. – Czekam na pewne depesze, jeśli te otrzymam, choć mi żal Drezno opuszczać, pojedę.

Rozmowa zwróciła się ku plotkom miejskim.

III

Najpoufalsze stosunki łączyły jeszcze dwóch przeciwników, chociaż z obu stron rozpoczynała się walka dla oczu niewtajemniczonych nie dostrzeżona. Tego samego poranku Sułkowski z Ludovicim, powiernikiem swym mówili o zamążpójściu Kolowrathównej.

Ludovici podejrzliwszym był daleko od swojego naczelnika.

– Panie hrabio – rzekł mu – ożeniecie to powinno nam dać do myślenia. Hrabia Brühl nie z jedną Kolowrathówną się ożenił, ale z dworem austryackim, z O. Guarinim, z Wielką ochmistrzynią, a potrosze z królową.

Brühl jest jak miód słodki, ale podstawił nogę Fleuremu i Manteuflowi, wyrzucił Wackerbartha i Hoyma; wpakował na Königstein Watzdorfa i Hoyma się z jego łaski obwiesił: ja Brühlowi nie wierzę.

Sułkowski śmiać się zaczął i ramionami ruszył.

– Mój Ludovici – rzekł z dumą – pamiętaj kto oni byli, a kto ja? Mnie on razem z O. Guarinim i Austryakami nie obali... O. Guariniego i cały ten pułk Jezuitów ztąd wypędzę. Królowej dam dwór inny. Księża ci mi już dokuczali: nie lubię ich.

Co się tyczy Watzdorfa i Hoyma, mylisz się; ja sam ich oddaliłem, ja, nie on.

– To jest on, rękami w. ekscelencyi; *is fecit cui prodest*, jako adwokat pamiętam prawniczy ten aksjomat. Watzdorf mu panne

bałamucił.

– Już tylko ty w rzeczach dworskich nie ucz mnie rozumu – odezwał się Sułkowski – wiem ja co czynię, a żaden z was nie wie, jak stoję mocno.

– Ja o tém nie wątpię – rzekł sucho, kłaniając się Ludovici.

Krótką tą rozmową utkwiała jednak w pamięci Sułkowskiego. Chociaż nawet przed najpoufalszym ze swych powierników, jakim był Ludovici, nie wydawał się z tą myślą: hrabia oddawna nie dowierzał Brühlowi. Nadewszystko znaczącém wydawało mu się, iż na wzór jego, nieustannie był przy Fryderyku Augustcie, towarzyszył mu wszędzie i godzinami odbywał milczącą służbę razem z trefnisiemi i O. Guarinim. Król się do jego twarzy przyzwyczajał. Kilka już razy dawała mu się czuć niebytność dłuższa Brühla i zapytywał się o niego. Zwolna nabierał doń nałogu.

Sułkowski nie mógł nawet przypuścić, ażeby to zagrażać mu miało, ale rywalów nie chciał, był zazdrosnym, pragnął być sam tylko w łaskach...

– Brühla oddalić należy – rzekł w duchu. – Znajdziemy pozór łatwo...

Króla należy przygotować.

Po obiedzie tegoż dnia, gdy król swoim zwyczajem wrócił do swych pokojów i natychmiast rozebrał się do koszuli, aby wdziać szlafrok, sięść w krześle i fajkę zapalić, Sułkowski był już na zwykłym stanowisku.

Tym razem nie sam. Do przedpokoju za nim wniesiono

tajemniczą paczkę, którą odebrawszy od służącego, sam wniósł do królewskiego pokoju.

Król w czasie swojej włoskiej podróży karmiony był widokiem arcydzieł malarstwa włoskiego. Pragnąc być podobnym do ojca i przejąwszy jego zamiłowanie w muzyce i w myśliwstwie, w wystawności, w teatrze, w jarmarkach nawet lipskich, przejął też miłość obrazów i dzieł sztuki. Z wielką namiętnością powiedzieć można, uganiał się za obrazami, lubował w nich i chciał z bogacić nimi już znaczny za Augusta II związek geleryi drezdeńskiej.

Chcąc się przypochlebić N. Panu, nie było lepszego sposobu jak nastreczyć mu lub ofiarować piękne dzieło sztuki. Zimny zwykle i flegmatyczny August III na widok pięknego obrazu przeistaczał się, stawał innym człowiekiem, oczy mu się zapalały tak jak od śpiewu Faustyny... Myśl zdawała żywiiej krążyć po głowie, usta nawet, zawsze tak oszczędne w słowa, zdobywały się na wykrzykniki i zdania.

W największym smutku godzina opery, lub oznajmienie obrazu, rozjaśniały lice króla. Sułkowski nie mniej od innych znał tę słabość swego pana.

August III dobywał właśnie pierwszego dymku z fajki, gdy Sułkowski ze szkatułką zjawił się na progu. Spojrzał nań, wyprostował się i nie mówiąc nic, rękę wyciągnął chciwie. Odgadł znać, co zawierała paczka, którą jego ulubieniec sam się nie wahał mu przynosić.

Oczy pańskie zajaśniały... Nie lubiąc mówić, nie rzucał

fajki, ręką tylko i ruchem całego ciała naglił Sułkowskiego o pokazanie.

– N. Panie – odezwał się hrabia cicho – jest to arcydzieło sztuki, to pewna, ale... ale...

– Ale cóż? – bąknął król trochę namarszczony.

– Ale – mówił minister – przedmiot jest trochę za mytologiczny, i gdyby uchowaj Boże, Jéj Królewiczowska Mość nadeszła...

Król sposepniał i przestał nalegać, twarz stała się poważną, poruszył głową znacząco.

Sułkowski w kątku pokoju postawił pudełko: oko Augusta poszło za nim.

– A kto malował? – zapytał.

– Mistrz włoski – rzekł Sułkowski – jest to arcydzieło Tycyana; choć drobnego rozmiaru, ale przedziwnego wykonania.

Usłyszawszy nazwisko, król się skłonił, jakby samego Vecellego witał, i szepnął:

– *Gran Maëstro! Maëstro!*

Sułkowski jakby już o obrazie nie było mowy stanął i zaczął co innego. Król popatrział nań jakby nie rozumiał, słuchał, zamyślił się i sam do siebie rzekł:

– *Troppo mithologico!!* hm...

Po chwili gdy minister mówił już o polowaniu – przerwał:

– Co przedstawia?

Hrabia ręką w powietrzu zamachnął.

– Bardzo nieprzyzwoitą scenę.

– A! pfui! schowaj go! Gdyby królowa nadeszła, albo O. Guarini... a pfui!

Mimo to nie spuszczał król oka ze skrzyńeczki.

– Najlepiej będzie gdy ja to precz wyniosę – odezwał się Sułkowski, zabierając się do paczki.

Nie śmiał król nic powiedzieć, ale się zmarszczył.

– Przecie co? co reprezentuje...

– Marsa i Wenerę, w chwili gdy ich *in flagranti* Wulkan siecią obrzuca.

Król oczy przymknął, ręką potrząsał.

– Pfui, pfui – zawołał.

Sułkowski brał pod pachę obraz.

– No, widzieć dla malowania – odezwał się król – dla sztuki grzech powszedni, to się wypowiadam O. Guarini... trzy *pater* i po wszystkim...

Rękę wyciągnął. Sułkowski uśmiechając się nieco, otworzył skrzyńeczkę, podniósł wieko, dobrał światło i zbliżył obrazek do kolan królewskich. Fajka wypadła patrzącemu z ręki.

Było to istotnie małe arcydzieło, wykończone jak miniatura, znany typ téj *belli* Tycyana, która mu do jego Venery i Danał służyła; cudnego wdzięku niewiasta, ale w istocie w nader mytologicznej sytuacji.

Król chciwie patrzył, a znać było, że się ciekawości swój i uwielbienia wstydział; zarumienił się, niby odpychał od siebie obrazek a jednak go nie puszczał. Powtarzał *Un gran Maëstro!* i łajał razem. Oczy jego iskrzyły się. Może zapomniał, że go

kto słucha, może nie zważał na Sułkowskiego, i począł szeptać: Venus bardzo piękna... kształty klassyczne! co za wdzięk! co za śliczna *tavola*.

Nagle coś mu na myśl przyszło: obejrzał się, odsunął obraz, splunął, przeżegnał się i surowo rzekł:

– Precz z nim! precz z nim! Nie chcę gubić duszy... Co ty mi takie pokazujesz rzeczy...

– Ale malowanie, N. Panie.

– Mistrz jest, ale precz z nim, precz z nim.

Sułkowski pędkiem zamknął skrzyneczkę i myślał ją wynieść, gdy król go za rękę wstrzymał.

– Czekaj, lepiej jest aby się drudzy nie gorszyli; postaw ją, tam w kącie; potem obaczymy... spalimy...

– Takie arcydzieło?

Król zamyślony umilkł i fajkę palił. Minister zsunął paczkę za kanapę i wrócił na swe miejsce. Pod wrażeniem obrazu ciągle August mruczał: *Diavolo incarnato!* i ruszał ramionami; ale obrazek bardzo piękny... Gdyby nie było tam Marsa i gdyby Wenus mogła się przerobić na pokutującą Magdalenę, powiesiłbym ją w pokoju.

– N. Panie, w rzeczach sztuki niéma nic nieprzyzwoitego: ceni się pędzel mistrza.

Król milczał.

– I muszę się spowiadać O. Guariniemu.

– Najj. panie – rzekł dosłyszawszy Sułkowski – sam Padre z przyjemnościąby popatrzał na to arcydzieło i wcaleby o

spowiedzi nie myślał.

– *Siete un birbante!* – mruknął król – *Tace, basta!*

Skończyła się tedy rozmowa o Wenerze Tycyana, a że Brühla nie było, król kilka razy o niego się upomniał. Sułkowski westchnął. Oczy Augusta podniosły się na niego.

– Brühl, jak widzę, z łaski W. K. Mości mnie ruguje – odezwał się hrabia – boli to mocno starego sługę wiernego. Przyznam się, że za toż samo jużbym go mógł nie lubić.

Król odchrząknął znacząco.

– Nie przeczę, że pożyteczny człowiek, ale ma swe wady, – mówił Sułkowski – obawiam się go. Miesza się do wszystkiego, zagarnia wszystko... pieniędzmi rzuca, zbytek lubi...

– O! o! o! – przebaknął król głową trzęsąc.

– Tak jest N. Panie.

– Mój ojciec go cenił – rzekł krótko August III – to dosyć.

Sułkowski zamilkł, ale smutnie; królowi się go żal zrobiło.

– Nie lękaj się Sułkowski – rzekł – na was dwa miejsca dosyć, a tyś u mnie zawsze pierwszy.

Po tych wyrazach, które już stanowiły wysiłek ze strony milczącego zwykle Augusta, Sułkowski przyszedł do ręki pańskiej i z przejęciem ją ucałował. Król przycisnął go do piersi.

– Ty mój stary przyjaciel, ale Brühl mi potrzebny.

Nie szło też Sułkowskiemu na ten raz o pozbycie się współzawodnika, chciał tylko zagaić tę sprawę, obiecując sobie do niej powrócić i powoli działać na króla. Nie mógł się wprawdzie uskarżać na Brühla, ale widział z pewnym

niepokojem, że się do niego August przywiązywał coraz więcej.

Król pykał już fajkę siedząc wyprostowany, zamyślony, mrugając tylko brwiami i oczyma jak miał zwyczaj, gdy czuł że mu na świecie wcale dobrze było; wtém puknięto skromnie. Oznaczało to jedną z osób uprzywilejowanych, które do pokoju pańskiego miały przystęp zawsze bez oznajmienia i nie mógł to być kto inny, chyba O. Guarini albo Brühl. Wszedł powoli Padre ze skromnym uśmiechem i złożonymi rękami, król go skinieniem głowy przyjacielskim powitał, chrząknął i fajkę palił, okiem mrugając. Sułkowski stał trochę opodal milczący.

Oko jezuita sznurkując po pokoju, padło na skrzyneczkę za kanapą. Wstał Padre i jakby zdziwiony przytomnością tu sprzętu nieznanego sobie, wybrał się w podróż dla sprawdzenia coby to było. Na widok tego pochodu, którego cel łatwo było odgadnąć, król się mocno zarumienił i z wymówką spojrzął na Sułkowskiego. Minister poskoczył, zabiegł księdzu drogę i szepnął mu coś na ucho, a August wcześniej się uniewinniając, mruknął Guariniemu:

– Ja nie widziałem, nie chciałem na to patrzeć: mytologia.

– E! – śmiejąc się odparł Ojciec – W. K. Mości mytologia może być niebezpieczną, ale mnie staremu...

Sułkowski wstrzymywał, Ojciec nalegał, król był mocno zawstydzony i zakłopotany, marszczył się na ministra. Guarini nie chciał ustąpić i powtarzał: – A! kiedy już tu jest, zobaczyć trzeba.

Położenie Sułkowskiego stawało się przykrém, gdyż obrazem

tym niejako króla kompromitował, który chciał uchodzić w oczach ludzi za człowieka surowych obyczajów.

– *Sentite!* – zawołał Guarini do Sułkowskiego – jeśli mi nie pokażecie obrazu, mogę sądzić, żeście tu nie wiem jaką przynieśli szkaradę i że chcąc razem dwom bogom służyć: rządząc państwem i zajmując się sztuką, jedno z dwojga nie ciekawie spełniacie, bo: *Chi due lepri caccia, una non piglia e l'altra lascia...* (kto na dwa zające poluje, jednego nie złapie, a drugiego wypuści).

Ostatnia przymówka ubodła Sułkowskiego i poszedł do skrzynki, a jezuita za nim. Król ku oknu głowę odwrócił. Uchyłono wieko: O. Guarini przysiadł na ziemi i uderzył w rękę.

– Arcydzieło! – zawołał – *meraviglia!* Ale cóż mówicie, że obraz nie moralny: owszem! Winowajców spotyka zasłużona kara, Wulkan ich łapie, a Wulkan tu *sensu paganorum* wystawia sprawiedliwość Bożą. Co się tyczy Wenery! biédaczka, trochę nieubraną **ma...**

Jezuita ręką machnął. Król nań spojrział i rozśmiał się uszczęśliwiony z tego wykładu, wołając na Sułkowskiego:

– Pokaż tu! pokaż tu!

Minister niósł obraz znowu. Z widoczném zajęciem przypatrywał się król pięknej Wenerze, gdy co mogło najokropniejszego się stać, czego najbardziej obawiali się wszyscy, to właśnie przyszło jak nieuchronna kara za niepotrzebną ciekawość.

Wszyscy nachyleni zachwycali się tą nieszczęsną Wenerą

Tycyana, gdy drzwi otwarty się jakby piorun uderzył, drzwi od pokojów królowej. Królowa Józefina jak widmo mściwe, ze swą dumną twarzą habsburską i niemiłymi rysy, ukazała się w progu.

W mgnieniu oka zapadło wieczko, O. Guarini cofnął się ku oknu; król wyprostowany patrzył w sufit, a Sułkowski z paczką swą uchodził zrećnie, ukryć się ją starając. Lecz przed oczyma podejrzliwej i zazdrosnej kobiety, możeż ujść cokolwiek? Królowa Józefina jednym rzutem oka objęła wszystko, odgadła, zarumieniła się, brwi zmarszczyła i posunęła się żywo ku królowi, który powoli wstawał na jój przyjęcie.

– Mamy dziś operę – rzekł – Faustyna śpiewa.

– Tak – odparła królowa, patrząc na Sułkowskiego – ale widzę, że tu mieliście inną zabawę, którejbym i ja była ciekawa. Cóż to jest, z czém się hrabia tak starannie ukrywa?

Królowa Józefina sama zajmowała się malarstwem i lubiła dosyć sztukę, łatwo jój po formie paczki odgadnąć było co zawierała. Król znając jój surowość i nadzwyczajną skromność dochodzącą do przesady, zmieszał się.

– Dosyć sobie ciekawe malowidełko – rzekł król – trochę swawolne, mytologiczne...

Józefina zarumieniona i gniewna spojrzała na Sułkowskiego.

– Ja téż bardzo cenię sztukę – rzekła – ale nie tę, która służy najgminniejszym instynktom zwierzęcym człowieka; najpiękniejszy pędzel nie okupi niepoczciwej myśli.

Miała królowa przecucie, że jój nie wypadało nalegać na

pokazanie obrazu, lecz wystawiła go sobie może gorszym niż był i Sułkowski łatwo odgadł, iż mu miała za złe karmienie króla podobnemi widokami. W istocie brzydkiej królowej zdawało się zawsze, iż ktoś jój męża odbierze, że go dworacy wciągną w podobne miłostki jak ojca, a drogą do nich uważała następczanie Augustowi tego rodzaju widoków.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.